Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 4. Grudnia 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 49.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . kwartalnie 6 m.
— z dodatkiem powieściowym „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

ZEFIRKEK

OBRAZEK Z ŻYCIA KOBIET

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ

(Ciąg dalszy)

W wyrazie twarzy i krzyku Żyrewiczowej było tyle szczerego przestrachu, tak nawet w przestrachu tym zadźwięczało serce matki, bądź co bądź, przerażone myślą o nagłem zwarjowaniu jej dziecka, że po ustach Brygidy przesunął się uśmiech, — nie wesoły wprawdzie, o, wcale nie wesoły! Usuwając się o kroków parę, zaczęła znowu.

— Moja mamo! ja wcale nie zwarjowałam i jakaż to warjacja?... człowiek to młody, przystojny... takie ma poczciwe, roztropne, wesołe oczy...

— A niech go djabli wezmą, z jego przystojnością i z jego oczami razem! — zapominając o wszelkiej wykwintności wyrażenia się, krzyknęła pani Emma i bezwładnie na kanapkę upadła.

Nie dowierzając przecież jeszcze przytomności umysłu córki, wlepiła w nią wytrzeszczone oczy.

— Czy ty naprawdę to wszystko mówisz... naprawdę... naprawdę?

— Naprawdę, mamo. I dla czegoż ma to być nieprawdą? Myśmy stosowni dla siebie. On nie wysoko edukowany, to prawda... czytać, pisać, rachować umie, trzy klasy gimnazjalne skończył, a w rzemiośle swoim bardzo biegły... pierwszy z niego majster w powiecie. Wszak i ja nieuczona... po francusku co nauczyłam się, to zapomniałam, a co się tyczy innych rzeczy, on więcej jeszcze umie odemnie...

— Brygido! Brygido! Brygido!

Prócz tego, trzy razy powtórzonego imienia córki, Żyrewiczowa nic więcej wymówić nie była w stanie. Brygida coraz śmielsza i zarazem coraz już posępniejsza, zaczęła znowu.

— I nie biedny on... o! daleko bogatszy odemnie... bo ja z kapitaliku, który ojciec zostawił nic, nic, grosza złamanego brać nie chcę... niech będzie dla mamy. Wie on dobrze o tem, bom mu mówiła, że weźmie mię w jednej sukni i to dziurawej... on zaś ma majątek.

Na dźwięk ostatniego wyrazu p. Emma ocknęła się nieco z osłupienia.

— Majątek! — powtórzyła głucho — mularz ma majątek! chyba więc z obywatelskiej rodziny...

— Nie mamo! mieszczaninem jest i z mieszczańskiej rodziny... z Młynowa, ale ma w Młynowie domek z dużym placem i ogrodem.

Tu rozległ się spazmatyczny śmiech p. Emmy.

— Majątek! Więc to majątek! chałupa jakaś w nędznej mieścinie... z placem i ogrodem... o Boże, mój Boże! co to się dzieje? co jej jest? czy ja czasem gorączki nie dostałam i tak mi się tylko wydaje? Brygido! Brygido! Brygido!

— Mamo! on w jeden miesiąc więcej zarabia niż my całego procentu od sumki naszej mamy... nie pije, nie traci... nie gbur nawet, choć prosty człowiek! Z człowiekiem takim życie szczęśliwe i... przyszłość pewna!...

— A niech go z jego zarabianiem i jego...

— Mamo! mamo! nie przeklinaj go! on na to nie zasłużył! za cóż przeklinasz go mamo? czy za to, że on dla córki twojej ma szacunek i przywiązanie? czy za to, że chce z córką twoją mamo, podzielić się dobrem swojem przez niego i przez jego ojca poczciwie zapracowanem? czy za to, że nie ma takich białych rąk jak ten panicz, który tu...

Powstrzymała się nagle. Popędliwa z natury i rozdrażniona wielu żywiołami składającemi się na jej istnienie, już, już wybuchnąć miała namiętnym gniewem bez powstrzymania się. Umiała panować nad sobą; pragnęła przekonać i ubłagać matkę.

— Mamo — zaczęła posępnym lecz złagodzonym już głosem, — toż może jedyny los mój... jedyne szczęście, które mi się przytrafia! Mam lat 27... Chciałabym żyć jak inne kobiety... przyjaciela mieć dozgonnego, dzieci...

— Brygido! ty... panna o takich rzeczach!...

— A jakież to rzeczy? moja mamo. Ojciec mówił zawsze: chciałbym żebyś była kiedyś dobrą żoną, matką i rządną gospodynią. Ja też niczego więcej nie chcę. Czemże mogę być innem? Nic nie umiem i do niczego pretensji mieć nie mogę. Pracować tylko mogę i chcę i... kochać swoich... moja mamo, czyż mama mi nie pozwoli spełnić wolę ojca i być szczęśliwą? Com ja mamie winna? Grać się nie nauczyłam! to prawda, ale czyż to wina moja? Pan Bóg mi zdolności do tego nie dał. I temum także ja niewinna, że silna wyrosłam, nie powiewna...

W piersi jej drgnął zwykły jej krótki, ironiczny śmiech, znowu wrzała wewnątrz goryczą i gniewem. I znowu przemogła się.

— Ale za to — zdławionym trochę głosem mówić zaczęła — ale za to, od śmierci ojca, przez ośm lat, przez całe ośm lat, służyłam mamie jak mogłam, czem mogłam. Oszczędzałam grosz każdy, aby mamie więcej na przyjemności i wygody zostało. Sługi nie miałyśmy... robiłam sama wszystko... robiłam wszystko, choć mama tylko... tylko... zawsze gniewała się na mnie za to! Nie wymawiam... o, ja nie

wymawiam, to był mój obowiązek. Ojciec, umierając powiedział mi: bądź dobrą dla matki!... o, ojciec! ojciec! ojciec! mój... ale za to, za to... że przecież spełniłam ten obowiązek, jak tylko mogłam i potrafiłam... proszę mamy... niech mama pozwoli, żeby *on* tu zaraz przyszedł i niech nas pobłogosławi.

Zadała sobie gwałt wielki i przyklęknąwszy przed matką, w kolana ją pocałowała.

— I dla samej siebie... — mówiła — niech mama to zrobi i pobłogosławi nas!... Mama nie młodą już jest... kapitalik ma niewielki i sama jedna... My mamie pokoik w domku naszym urządzim, przystroim... on ma starą matkę, którą bardzo kocha... będziemy was obie doglądać jak oczy własne... spokojną starość...

Żyrewiczowa porwała się z kanapki i gestem tak popędliwym, jakiego nigdy od łagodności jej i delikatności spodziewać się nie było można, córkę od siebie odepchnęła.

— Precz! precz! precz! — wymachując ramionami i z twarzą w ogniu wołała; — dziecko niegodne! niepoczciwa dziewczyno! Ty mię śmiesz od niemłodych wyzywać, w chałupie jakiejś spokojną starość, z mularką jakąś razem, obiecywać! Cóż to ty sobie myślisz? kto ja jestem? Jestem córką pocztmistrza, a matka moja z obywatelskiej rodziny, bo inaczej, nie poszłabym była za niego! w kogo ty wrodziłaś się? ani w ojca, ani w matkę, ani w babkę, ani w dziada...

— Owszem, owszem!—zawołała Brygida. — Mylisz się mamo, wrodziłam się w ojca... w biednego ojca mego, który tak samo jak ja nie był ani szczupłym ani powiewnym i po francusku nie umiał i grać nie umiał i górnie mówić nie umiał, ale taki był pracowity, że przez 20 lat zarabiał mamo dla ciebie nietylko na chleb, ale na torty, cukierki, assamble i stroje...

— Brygido! — krzyknęła Żyrewiczowa — ubliżasz matce!

Rozgorzałe oczy dziewczyny przygasły znowu, odetchnęła głęboko.

— Przepraszam—rzekła zniżając głos, — uniosłam się, przepraszam... ale cóż ja zrobię? prosiłam przecież mamę, błagałam i perswadowałam...

I bądź pewną — drżąc cała i na środku pokoju stając — odpowiedziała p. Emma — że żadne twoje prośby, błagania i perswadowania nic tu nie pomogą. Zwarjowałaś i koniec, a ja warjacji tej ani pobłażać, ani sama przez nią cierpieć nie mogę. Coby na to powiedział pan Stanisław? coby powiedziała Łopotnicka? U Łopotnickiej nogaby już moja chyba nie stanęła nigdy. Czy my na pustyni żyjemy, abyśmy sobie według woli za różnych mularzów i młynarzów wychodzić mogły. Żyjemy pomiędzy ludźmi, a kogo ludzie w pogardzie mają, tego i my... bo inaczej spadniemy same w pogardę ludzką... w błoto! Tak postępować każą nam nasza godność osobista, nasze wznioślejsze uczucia. Ale czyż ty masz w sobie choć trochę osobistej godności? czyż ty rozumiesz, co to jest wzniosłość uczuć? byłaś zawsze grubą naturą i sprawiałaś mi same zmartwienia. Rodziłam cię w większych bolach, jak obu twych braci, dzieckiem byłaś krzykliwem i spać mi nie dawałaś wrzeszcząc zawsze niewiedzieć czego.. potem żadna edukacja nie przyjmowała się do ciebie, żadnego talentu nie miałaś... Bóg wie zkąd i dla czego rosłaś wielka i silna, jak prosta dziewka, to też i teraz...

Mówiła jeszcze długo, ciągle w tenże sam sposób, chodząc po pokoju, rozmachując ramionami, w rumieńcach cała, z iskrzącym się zwrokiem. Brygida milczała jak grób, na czole jej zarysowała się gruba zmarszczka, a czarne oczy jej wpatrzone w ziemię, nabrały przepaścistej głębi i boleści.

Nakoniec, mówiąca kobieta zmęczyła się i stanęła.

— No, — rzekła z rozkazującym gestem — siadaj, weź robotę, uspokój się sama i mnie daj odpocząć. A głupstwo te wybij sobie z głowy raz na zawsze...

Brygida podniosła głowę.

— Nie mamo — odpowiedziała — nie siądę, nie wezmę roboty i nie wybiję sobie z głowy... ale pójdę zaraz do niego i powiem, żeby na zapowiedzi dawał. Jestem aż nadto pełnoletnią... Ksiądz metrykę wyda... Za dwa tygodnie weźmiemy ślub.

Mówiła to ponuro i stanowczo. Na twarzy pani Emmy odmalował się wyraz najwyższej trwogi. Tak, mogła to uczynić, była istotnie pełnoletnią, ksiądz istotnie mógł dać jej potrzebne dokumenta, mogli istotnie pobrać się bez jej pozwolenia! A więc, dla przełamania przeklętego uporu dziewczyny tej, pozostał już jej środek jedyny. Jeżeli chce uniknąć tego, coby ją w oczach ludzkich rzuciło w pogardę i błoto, jeżeli chce módz spojrzeć w oczy Stasiowi i Łopotnickiej, użyć powinna tego jeszcze jedynego środka.

Przed wyobraźnią jej mignęła aktorka jakaś, którą kiedyś, widziała na scenie Ongrodzkiego teatru, w roli matki wyklinającej syna czy córkę. Nie pamiętała już słów przekleństwa, ale imponująca i patetyczna postać aktorki, przed oczami jej stała wyraźnie.

Stanęła też na środku pokoju, patetycznym gestem wyciągnęła ku Brygidzie oba ramiona i zawołała.

— A więc, ja przeklnę cię córko wyrodna! przeklnę cię razem z Sośniną twoją i wszystkiemi Sośninami, które z nim mieć będziesz... O, słuchaj! niech przekleństwo matki...

— Mamo! mamo! mamo! — przeraźliwie krzyknęła Brygida — i rzucając się ku matce usiłowała pochwycić ręce jej i suknią, byle tylko do dalszego mówienia jej nie dopuścić Bladą była śmiertelnie i drżała od stóp do głowy.

— Mamo, nie przeklinaj! — wołała — mamo, na miłość boską, przestań!... Przekleństwo matki... o! ja boję się... za cóż i on także ma być przeklętym! i dzieci!... mamo zlituj się... niebłogosławieństwo boskie... straszno!

I całem swem silnem, kształtnem ciałem runęła u stóp matki. Lecz pani Emma, której oczy ochłodły już i błysnęły tryumfem, odskoczyła od niej.

— Tak, — zawołała — przekleństwo matki to niebłogosławieństwo boskie... aż do czternastego pokolenia... czy słyszysz? aż do czternastego pokolenia! głód, mór, węże, szarańcza, ciemności, i wszystkie plagi egipskie! jeżeli nie przyrzeczesz mnie, że wybijesz sobie z głowy te głupstwa, aż do czternastego pokolenia przeklnę twoje Sośniny! Cóż? czemuż nic nie mówisz i leżysz jak nieżywa twarzą do ziemi! Myślisz jeszcze sprzeciwiać się! no, to słuchaj! niech przekleństwo matki..

— Mamo! mamo!

Porwała się znowu z ziemi.

— Niebłogosławieństwo boskie! — krzyknęła — straszno!

— Niech przekleństwo matki...

— Czekaj mamo, czekaj! nie mów dalej! nie gub duszy i mojej i jego! o ja nieszczęśliwa! Idę już idę! Zejdę ci z oczu, zrobię jak chcesz! O! bodajbym była nazajutrz po urodzeniu wskroś ziemi przepadła!

Z ostatniemi słowami, łkając i szamocząc się, jak burzliwy wicher wypadła z mieszkania.

Wieczór był zimny, dziedziniec napełniony głębokim zmrokiem. Brygida biegła ku bramie, w pobliżu której, w oczekującej postawie stał urodziwy mężczyzna, w mieszczańskiem ubraniu i z długim, bujnym wąsem. Spostrzegłszy ją, szybko kilka kroków ku niej postąpił.

— A co? a co? — pytał ciekawie — uprosiłaś? zgodziła się? mogę tam iść?

Z właściwą sobie gwałtownością i z wybuchem płaczu, porwała go za ręce.

— Nie zgodziła się... przeklnąć chce mnie i... ciebie! już zaczęła przeklinać!..

Ogarnął ją ramieniem, przycisnął do piersi i długo milczał. Potem, smutnym bardzo głosem zaczął:

— Przekleństwo matki, niebłogosławieństwo boskie... nie można! Ja ciebie bez błogosławieństwa matki brać nie mogę. Jaką ona sobie jest, to jest... zawsze to matka i wreszcie...

Tu ramię jego opadło i podniósł głowę.

— Wreszcie.. cóż u licha? a któż to ja taki, złodziej, pijak, włóczęga, czy co? żeby aż przeklinać mię za to, żem dziewczynę ukochał i za żonkę ją biorę!...

Ona nie odpowiedziała nic i cicha, zesztywniała usunęła się o parę kroków.

— Próbowałażeś wszystkiego? — zapytał po chwili — prosiłaś? perswadowałaś? mówiłaś, że mam dobry kawałek chleba dla ciebie i nawet dla niej? Niech u ludzi się spyta? niech mi termin naznaczy, żeby poznać się zemną? na wszystko zgodzę się... tylko nie na przeklinanie!

Milczała.

— To już nam ze sobą i pożegnać się wypadnie.

Załkała głośno, on znowu ją do piersi swej przycisnął.

— A no — mówił — może się jeszcze stara namyśli i udobrucha. Ot widzisz, serce mnie kraje się, i aż płakać chce się... Wiesz co? jak śniegi spadną i skończą się

mularskie roboty, ja tu kiedy, wolnym dniem wpadnę i dowiem się... a choćby tylko i zobaczyć ciebie, moja ty czarnooka!

— Przyjedziesz? czy przyjedziesz? — zapytała chciwie, a w głosie jej zadrżała nadzieja.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KOŃ

(z „Esprit des bêtes“ A. Toussenela)

Wszyscy pisali o koniu, od Joba, który nie datuje się od wczoraj, aż do Lancosme-Brève; nikt go jednak nie zdefiniował, nawet Buffon, który przecież pisał w mankietach koronkowych:

La plus belle conquete,
Que l'homme ait jamais faite,
Est celui du cheval
Ce superbe animal.

Koń jest wyrazem społeczeństwa, lepszym aniżeli literatura... Dajcie mi konia jakiego narodu, a ja wam powiem, jakie posiada obyczaje i ustrój ten naród.

Historja konia, jest historją ludzkości, ponieważ koń jest uosobieniem arystokracji krwi, kasty wojowniczej, pod której uciskiem, niestety, przeszły wszystkie społeczeństwa! Najusilniej zachęcam profesorów historji i literatury do otwarcia uszów.

Jest tylko jeden prawdziwy koń na świecie, to jest ogier arabski — wiem, że jest wiele czworonogich na świecie przywłaszczających sobie nieprawnie ten tytuł, większa część jednak tych przywłaścicieli może być z korzyścią zastąpioną przez parę lub wielbląda.

Prawdziwy koń jest godłem prawdziwego szlachcica. Nie można zaprzeczyć, że istnieje analogiczne pokrewieństwo między koniem a szlachcicem, tak podobieństwo między obydwoma typami jest dokładnem.

Podziwiajcie, jak szlachetne zwierze zdaje się żądać wojny ruchami całego ciała, wszystkiemi sprężynami swej duszy. Palące nozdrza rozszerzają się i dymią, niecierpliwe nogi grzebią ziemię, rozognione oko rzuca błyskawice i pożera przestrzeń; zębami żuje wędzidło i bieli go pianą; jego rozrzucona elegancka grzywa wstrząsa się i podnosi na wolę gniewu, ogon rozwija się jakoby kita z piór — pochlebia sobie i pyszni się pod spojrzeniem tłumów i stąpa z góry, gdy jest chwalony. Posłuchajcie jego przenikliwego rżenia, znamionującego szaloną zazdrość, głos to bardziej wojowniczy, aniżeli trąby wojskowej; jest to pobudka bojowa, groźba śmierci. Jeżeli z tego rysu nie poznacie legendowych bohaterów wojen krzyżowych, kawalerów z błyszczącą bronią, z falistemi pióropuszami — pragnących błyszczeć i podobać się, chciwych gonitwy, niebezpieczeństw, przepychu, muzyki trąb i rogów... to w takim razie, nic więcej nie powiem.

Dziki koń, który jeszcze dzisiaj panuje na trzeciej części kuli ziemskiej, posiada butny charakter, wojenne nawyknienia, kawalerskie obyczaje arabskiego rumaka; nie należy jednak od niego wymagać tej wytwornej zgrabności ruchów, uprzejmego zachowania się, bogactwa w ułożeniu i elegancji, jakie tylko edukacja i zetknięcie się z wielkim światem nadaje. Nawet szybkość jest przymiotem, który rozwija tylko pod wpływem starań człowieka. Buffon napisał przeciwnie; lecz omylił się — był krótkowidzącym i nigdy nie wychodził ze swego salonu, często rozprawia o rzeczach, których nigdy nie widział i właśnie dziki koń należy do ich liczby. Wiadomo, że cała przestrzeń od brzegów Dunaju aż do bram chińskich, to jest stepowe okolice i powierzchnia środkowej Azji są pod panowaniem dzikiego konia. W Ameryce panowanie jego obejmuje niezmierne pustynie północne zwane preryami, na południu zaś pustynie Pampas, brzegi Amazonki i łany Patagońskie. Niezadowolniony jednak tak rozległem panowaniem, ambitny zwierz od niedawna wstąpił na ziemie Australii. Słońce więc nie zachodzi w królestwie końskiem.

Otoż królestwo to większe, aniżeli Karola V. lub Czyngishana, Anglików lub Rzymian, podzielone jest na myriady małych arystokratycznych rzeczypospolitych, gdzie władza, owe źródło wojen bez końca, jest udziałem mocniejszego. Ile okręgów, tyle przywódzców, zupełnie jak za czasów feodalnych średnich wieków i tyleż rezydencji i rządów. Tam młode ogiery, które wzdychają do władzy, starają się stać jej godnymi przez świetne czyny i zaczynają swoją sławę od zamordowania wilka. — Nie rzadko można widzieć w stepach rosyjskich, jak ogier dwuletni, sam jeden, rzuca się na stado złożone z 4, lub pięciu wilków, jednego z nich zabija, innych rozpędza i roznosi postrach swego imienia po okolicy. Wolny koń atakuje przedniemi nogami jak jeleń, nie zaś tylnemi jak powszechnie utrzymują między ludem. Podnosi się na całą wysokość przeciwko nieprzyjacielowi, miażdży go kopytami, później chwyta strasznemi szczękami za grzbiet i rzuca klaczom, aby one i ich małe pobawiły się nim. Klacz podobnież nie potrzebuje wiele zachęty, by biegła do boju, skoro niebezpieczeństwo zagraża; wojna jest pierwiastkiem tego rodzaju.

Karol Fourien napisał, że koń idzie do boju tylko przez posłuszeństwo, gdy tymczasem pies delektuje się rolą kata; nie jest to ani prawdą ani sprawiedliwem. Zgadzam się z tem, że koń nie lubuje się w roli kata, lecz lubuje się w bitwach, tak samo, jak szlachetny rycerz, gdy tymczasem wszystkie psy zdolne są przemienić sie w . . . .

Trudno jest zaprzeczyć tożsamości namiętności pomiędzy szlachcicem i jego biegunem, gdy rozważy się, że z pomiędzy wszystkich zwierząt jeden tylko koń rasowy posiada swoje drzewo genealogiczne, lub gdy się widzi konia podczas publicznych uroczystości pyszniącego się na podobieństwo szambelana, podczas wykonywania swych obowiązków. Wzniosłość szlachetnego zwierzęcia łatwo przeradza się w pychę — Plutarch opowiada, że Bucefal raz przykryty czaprakiem nie chciał więcej z nikim gawędzić, tylko z Aleksandrem wielkim.

Arabski poeta Eldemiri opowiada, że Kalif Meronan miał konia, który nie pozwalał chłopcu pokojowemu wchodzić do swych apartamentów, jeśli nie był zawołanym — pewnego dnia nieszczęśliwy masztalerz zapomniał o zakazie, koń oburzony brakiem szacunku, chwycił go za kark i rozbił o żłób marmurowy.

Pausanias chwalił się, że znał konia, który zdawał sobie dokładnie sprawę z wygranej na wyścigach, w czasie igrzysk olimpijskich i że po każdej wygranej, sam kierował się dumnie ku trybunie po odbiór nagrody.

Żadne zwierze nie miało i nie powinno mieć większej liczby panegirystów jak koń. Być może, że najpierwsze wiersze arabskie były układane dla niego. Homer kazał płakać Patroclowi za biegunami Achilla i każe wyprawiać różne zabawne sceny koniom Rhésusa. Znam bardzo poważnych ludzi powątpiewających o prawdomówności starego Horacego, co się tyczy przepowiedni koni Rhesusa, a którzy daliby się pokrajać na kawałki w obronie prawdy, że oślica mówiła do Balaama. Teraz poeci są w prawie udzielania mowy zwierzętom — lecz Arystoteles, który był tylko uczonym, nie miał racji utrzymywać, że widziano w kraju Scytów konia, który popełnił samobójstwo, rzucając się w przepaść z wysokiej skały, dla ukarania się za to, że pozwolił unieść się zmysłom i popełnił kazirodztwo. Koń posiada wiele przymiotów: pamięć, zręczność, odwagę i pojęcie, czyniące go zdolnym do unikania tego, co do niego nie należy — a do czego wypada policzyć wstydliwość. Przypisywanie mu przymiotów, których nie posiada, byłoby szkalowaniem. Powiedzmy jeszcze w sekrecie, że koń rasowy uwielbia mięso, co właśnie ułatwia zrozumienie usposobienia wszystkożernych (omnivores) koni Rhesus'a.

Nie potrzebuję powoływać się na świadectwo Plutarcha i innych dla dowiedzenia prawdy jaśniejszej od światła dziennego, i którą poeci, ci uprzywilejowani rodzaju ludzkiego, którzy wszystko odgadują bez uczenia się, zapisali przed trzema tysiącami lat. Księga Joba spisana w namiocie, w głębokiej puszczy Arabii, przepełniona jest wspaniałemi aluzjami do charakteru rycerskiego i wojowniczego bieguna.

Ateńska rada municypalna miała uczynić wybór pomiędzy Minerwą, boginią mądrości i Neptunem bogiem fal i bałwanów, którzy gorąco spierali się między sobą o zaszczyt opiekowania się nową parafją. — Bogini pokoju zawezwana do okazania swych zdolności, wyprowadziła z ziemi drzewo oliwne, godło pracowitej industrji, a zarazem korzystnej, drzewo blade, twarde i sękowate, z owocem kwaśnym i trudnym do użycia, lecz przy pracy zdolne wytworzyć światło i bogactwo. — Natomiast bożek mórz uderzył w ziemię swoim trójzębem i wyskoczył ognisty rumak, który zaczął rżeć na podobieństwo charakteru swego pana, bożka mórz i burz. — Naród ateński, który był przyjacielem wolności i rozumu, miał dobry zmysł przenieść godło wyzwalającej industrji nad godło uciskającej arystokracji, i zrobił dobrze. — Jestem jednak pewnym, że Rzym byłby wybrał podarunek Neptuna.

Kto chce z gruntu poznać charakter i instytucje patryarchalnego świata, nie potrzebuje radzić się biblji; niechaj zapyta się konia.

W świecie patryarchalnym, u pokoleń arabskich koń towarzysz chwały i upadku swego pana, używa jego najpierwszych czułości, żona i dzieci następują potem; dla niego czułe karesy i poezje Atara. — Jego drzewo genealogiczne jest lepiej utrzymywane, aniżeli własnej familji; podobnież grzywa jego jest staranniej i z większym artyzmem utrzymaną, aniżeli fryzura własnej żony. Słyszałem jednak, że u niektórych pokoleń pustyni, sokół miał pierwszeństwo przed koniem. — To znaczy, że w świecie patrjarchalnym, kasta wojownicza jest wszystkiem, i że ojciec barbarzyńca ma prawo życia i śmierci nad swoją żoną i dziećmi. Z przykrością przychodzi mi to wyznać, że ucisk słabego

*

i nędza robotnika są w stosunku prostym do fortuny konia i odwrotnie. Każda rewolucja, która wywyższa naród, poniża konia. Obawiam się aby tak głębokie spostrzeżenie nie uszło uwagi panów historyków wielkiej Brytanji.

Nie ma nikogo, ktoby niesłyszał o wstręcie konia do niedźwiedzia, słonia, wielbląda. Niedźwiedź, przedstawiciel outtaw'ów, pokolenia zwyciężonego, jest to czarny zwierz arystokracji. — Słoń ubogi w szaty, wyobraża przemysłowe ubóstwo edenizmu, okresu w wysokim stopniu antypatycznego dla konia, który nie chce słyszeć tylko o zbytkach, pióropuszach i złoconych czaprakach. — Wielbląd jest godłem niewolnictwa; wszelka arystokracja, wszelka władza tyranów, obraca się na ucisku i nienawiści robotnika. Mógłbym piękne dzieło napisać na tle dwóch wyrazów: Antypatja i sympatja. Arystoteles napisał; Patrycjusz pochodzący z półbożków, przysiągł wieczną nienawiść dziecięciu ludu, pochodzącemu z niego; bramin narodzony z głowy Brahmy, podobnież nie przebacza parjasowi, pochodzącemu z prochu jego nóg. Czytałem w bajkach, że aby najgłodniejszy niedźwiedź uciekł, dość jest uderzyć w bęben zrobiony z końskiej skóry.

Rozważmy los konia w rozmaitych przemianach, a stopniowo przesuwający się obraz różnych epok ludzkości, rozwinie się przed naszemi oczyma. Koń jest najpierwszą zdobyczą psa, jest to jeden z głównych punktów pokoleń patrjarchalnych.

Pewnego dnia pokolenie to stało się zdobywcą, i opuściło pustynie, by zbudować Babylon; to jest, że patryarchat przemienił się w barbaryzm. Zwycięzka horda zaraz czuje potrzebę zorganizowania się dla wrośnięcia w grunt zdobytego kraju. Zaczyna więc od uszlachetnienia usług konia, który był wspólnikiem zwycięztw (wiadomą jest rzeczą, że psy i konie Gallów, brały udział we wszystkich potyczkach swoich panów). Uszlachetnienie konia jest właściwie mówiąc, podstawą ustroju rządu feodalnego. Pierwszy urzędnik państwa po królu nazywał się *connétable* (*comesstabuli*, naczelnik stajni), potem następuje marszałek (*maréchal* lekarz koni i ten, który je kupuje), później wielki koniuszy, (pierwszy lokaj idący za koniem) i tak dalej. Przykro mi tutaj wspomnieć, że to od naszych przodków Germanów i Scytów, pochodzi szczególny zwyczaj obcinania grzywy i ogonów u koni. Koń niemiecki był przez długi czas dla Włocha zwierzęciem pociągowem, poczem role zmieniły się.

Szczyt świetności konia, opowiada o najpiękniejszych chwilach szlacheckiego feodalizmu i czasów rycerstwa. Koń ma swoje imię w pieśniach poetów, obok imienia największych bohaterów.

Pewnego dnia losy zmieniły się. Waleczny Bajard (mówię o rycerzu, nie o koniu) został ugodzony kulą i stało się, że koń i feodalizm zostały ubite za jednym strzałem. — Umysły się podnoszą i jutrzenka wolności ludów wschodzi na widnokręgu.

Otóż tak samo, jak koń bojowy opowiadał nam czasy przeszłe, barbarzyńców i patrjarchów, Abrahama i Semiramidy, Rzymu i Aten, opowie on nam o czasach teraźniejszych, i być może, gdy go bardzo będziemy o to prosić o czasach przyszłych. Zobaczmy czasy teraźniejsze: Anglję i Francję.

(Dokończenie nastąpi.)

Gdyby tak na całym globie!

Gdyby tak na całym globie
Każdy robił, jak ja robię,
Świat innemi szedłby tory.
Nihiliści, socjaliści,
Te i tym podobne zmory,
Przepadłyby wiekuiście,
I szczęśliwa ludzkość cała
Spokojnie by oddychała.

Owóż ja, ludzkie falangi
Dzielę sobie według rangi:
Na starszyznę z dekoracją,
I młodzież bez dekoracji;
Pierwsi u mnie mają racją,
A drudzy nie mają racji.
Rzecz prosta a pełna ducha:
Starszy każe — młodszy słucha.

Starszy mówi ci żeś pjany,
Basta — idź spać mój kochany.
To nikogo nie obraża.
Młodszyś — rozum do szuflady,
Aż wyjdziesz na konsyliarza,
A tymczasem — żadnej swady!
Słuchać — choćby nawet kija!
To moja filozofija.

Raz, spaceruję z marszałkiem,
I, rzecz naturalna całkiem,
Z gołą głową — choć deszcz pada.
Włóż czapkę, mówi marszałek —
Nie — znam służbę — nie wypada...
Lecz nawzajem, bez przechwałek,
Spostrzega mnie dyjurnista —
Czapka precz — na kroków trzysta!

Godzinę mokłem na deszczu,
Proszę słuchać, oprócz dreszczu,
Nie zdradziłem się i giestem.
I co powiem, od tej chwili
Bardziej z siebie kontent jestem!
Ach! czemby to ludzie byli,
Gdyby tak na całym globie
Każdy robił, jak ja robię!

M. Rodoć.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Koniec Listopada zawsze nam przynosi smutne wspomnienia i obchody. Śmierć Mickiewicza i początek powstania w roku 1830, zeszły się tu razem, jakby umyślnie, aby uprzytomnić narodowi tyle sławną a smutną jego przeszłość. Resztki wojowników za świętą sprawę, w gronie ludzi czujących się jeszcze ogniwem w łańcuchu naszej tradycji, zebrało się na skromną ucztę dnia 29. Listopada, w sali kasyna mieszczańskiego. Co rok mniej bywa wiarusów, i co rok mniej wybitniejszych osobistości z nowoczesnego społeczeństwa. Pierwszych zabiera stara przyjaciółka z kosą, drugich nowa, tak zwana lojalność, połączona z zatraceniem indywidualnych przekonań, dla dobra.... nowego porządku rzeczy. Smutno przyznać się, lecz któż nie widzi, że z każdym rokiem wynarodowiamy się coraz bardziej, i to właśnie tu, gdzie najmniej nam przeszkadzają być Polakami. Narodowa straż pożarna musi zacierać ręce z radości; ich pozytywizm patrjotyczny, dobrze się przyjął, a jeżeli tak dalej pójdzie lat dziesięć, dojdziemy do nihilizmu patrjotycznego, z którego już najłatwiej będzie werbować jurgieltników każdej sprawy, za łyżkę barszczu i kawałek chleba. W obec takiego stanu, pytamy się, na co nam przemysł, handel, dobrobyt, oświata i tym podobne facecje, które mogą dać ludziom niezależność materjalną, a z nią jakieś indywidualne i patrjotyczne wybryki. Jak będą ogłupione i głodne massy w kraju, to z wdzięcznością całować muszą ręce, które im rzucą jakieś resztki pożywienia. Słyszeliśmy, że w Krakowie już są umundurowani żebracy, z blachami na piersiach, jako poleceni miłosierdziu publicznemu; — jestto początek klasyfikacji społecznej. Za lat dziesięć my wszyscy, co tu się mamy za niezależnych, będziemy tak samo ozdobieni różnemi blachami i znakami, — człowiek bez blachy, będzie musiał z głodu umierać pod płotem. Nie jestto żadna nowość w praktyce społecznej, wszak głodem poskramia się najdziksze zwierzęta!

Drugi obchód rocznicy śmierci Mickiewicza w sali ratuszowej, miał, dzięki staraniom młodzieży akademickiej, daleko lepsze powodzenie. Jak zwykle, złożyły się na niego deklamacje, śpiew i muzyka z odczytem akademika Mazanowskiego zamującej rozprawy, o objawach uczuć Mickiewicza w Odzie, Farysie i Dziadach, tudzież przemówieniem rektora uniwersytetu, Dra Leonarda Piętaka. Obchód miał cechę literacko-artystyczną, dla której to, łaskawie jest tolerowanym, aby tylko miał najmniej do czynienia z Odą do młodości, która czasami mogłaby zanadto rozgrzewać.

Niezwykłem zjawiskiem na polu artystycznem, były w ubiegłym tygodniu dwa koncerta młodziutkiego skrzypka p. Degremont'a, a na które publiczność, zapełniła raz i drugi obszerną salę Narodnego Domu. Rzeczywiście gra koncertanta, który podobno ma mieć dopiero lat czternaście, zachwyciła wszystkich. Takiej czystości tonów, takiej expresji uczucia, delikatności i wdzięku w grze dawno Lwów nie słyszał. Szczególniej nocturn Szopena, ten rzewny, pełen miękiego uczucia i ciepła utwór naszego mistrza do głębi poruszył serca wszystkich. Znawcy i nieznawcy, młodzi i starzy, wzruszeni byli do głębi, bo młody artysta grał nie na strunach, ale na sercach słuchaczy. Brakuje mu wprawdzie jeszcze tej werwy i ognia, którą daje poczucie siły w człowieku i artyście, a którąśmy kiedyś w Wieniawskim podziwiali, lecz że z pana Degremont'a będzie kiedyś pierwszy skrzypek w świecie — o tem nie wątpimy. A i to pięknie przemawia na jego stronę, że zdecydował się dać trzeci koncert na cel dobroczynny, tak go bowiem ujęły serdeczne przyjęcie i owacja Lwowian.

Z drugiej znów strony dochodzą nas wieści z Odesy, tego niby to najbardziej cywilizowanego miasta w Rosji, że na Sarę Bernhard powracającą z teatru, wykonano prawdziwie dziki napad, którego groźnych skutków tylko dzięki swej przytomności, artystka uniknęła. Pisma rosyjskie tego zakroju, jak „Nowoje Wremia,“ zapewne policzą to motłochowi odeskiemu na karb jego odrębnej staro-ruskiej cywilizacji nie mającej nic wspólnego ze zgniłym Zachodem — prócz sympatji z Rusinami tutejszymi.

Na ostatku przychodzi nam tutaj powtó-

rzyć pogłoskę o założeniu nowego politycznego dziennika w Krakowie, a raczej o przekształceniu „Gazety krakowskiej“ na pismo codzienne. Wymieniają nawet redaktorów przyszłego dziennika, między którymi ma być dawny redaktor warszawskiego „Echa“, pisma prowadzonego w duchu krakowskiego „Czasu“, i dwóch dawniejszych redaktorów ś. p. „Ojczyzny“ lwowskiej. Jeżeli to prawda i jeżeli ma ktoś do wydania kilkadziesiąt tysięcy guldenów na nakład, to ciekawem będzie, jakiego rodzaju i jakich tendencji ma być ta nowa gazeta, extrakt połączenia takich żywiołów redaktorskich, a jeszcze ciekawszem, stanowisko ulubionego i pierwszego poety naszego, którego także do tej kombinacji zaliczają... W każdym razie, życzymy nowemu zapaśnikowi z apatją galicyjską, dobrego powodzenia, bo może mu się uda trafić do gustu publiczności i wyciągnąć ją z dotychczasowej drzemki.

PAN MINISTER

przez

JULIUSZA CLARETIE.

CZĘŚĆ PIERWSZA

(Ciąg dalszy.)

Guy cokolwiek był zdziwiony.

Nie bez pewnego uczucia obawy, przyglądał się ciekawie kobiecie tej, którą niegdyś kochał, kochał tak silnie, że dla miłości tej gotów był cierpieć — naiwni mówią, umrzeć. Usiłował odnaleźć w głębi tych szarych iskrzących oczu, płomienie dawnego uczucia, zagasłe bez pozostawienia choćby tlących się węgielków. I niech kto powie, że gotów on był życie oddać dla tej kobiety; że byłby poświęcił dla niej swoje nazwisko: że aby oderwać się od niej, musiał gwałt swojemu sercu zadać, że aż do Włoch uciekał, aby zapomnieć o niej wśród ciszy i samotności! O, tak! Marjanna posiadała całą miłość tego sceptycznego, zobojętniałego na wszystko Paryżanina — a teraz, patrząc na nią pragnął wskrzesić w sobie jedno z minionych wrażeń, jedno ze wspomnień, co nieraz jeszcze z miłem draźnieniem budziły się w jego sercu.

Marjanna dziwnie się jakoś uśmiechała. Widocznie umiała domyślać się, co się dzieje w głowie Guya. Wygodnie teraz zagłębiona w fotelu, z głową lekko przechyloną, niezmiernie badawczo wpatrywała się w Lissaca, a spojrzenie jej, padające z ukosa, tem przenikliwszem się wydawało.

Lissac odczuwał na sobie całą siłę złośliwego tego spojrzenia, rzucanego z pod na wpół przymkniętych powiek. Różowe jej nozdrza przebiegały drgnienia nerwowe, dodające więcej jeszcze mocy szyderczemu uśmiechowi, a drobnemi paluszkami przebierała na pulchnej oprawie lewej ręki, niby na śnieżnej klawiaturze, tempo jakiegoś pośpiesznego marsza.

W łagodnych zagięciach tego kształtnego ciała, w spojrzeniu niby szyderczem, a niby lubieżnem, w pulsacji nozdrzy, Guy pragnął wywołać część dawniejszego zachwytu. W półcieniu podbródka dopatrzył na szyi owe miejsce, na którem lubił oprzeć swe czoło, lub przytknąwszy usta, pocałunkami bez końca rozkoszować się zwolna niby drogocennym likworem. Coś się dziwnego w nim działo. Miłość nie zużyta ale gwałtownie złamana, zdawała się z całą potęgą wciskać napowrót do jego serca.

Czy to w skutek odświeżonych wspomnień, czy przez prosty kaprys, widok tej kobiety pobudzał w nim, podobnie jak dawniej, wzruszenie ściskające mu piersi i ów miły niepokój, od którego odzwyczaiły go późniejsze, przelotne miłostki. Lekki, przejmujący i przyjemny zapach otaczał całą osobę Marjanny, a Lissac poznawał w nim pamiętną mu tak dobrze z dni ubiegłych, odurzającą woń świeżo skoszonego siana.

On milczał i ona też, rozciekawiona, czekała w jaki sposób przemówi do niej, co jej może powiedzieć. Wreszcie, zakłopotana może pytającem milczeniem Lissaca, wyprostowała się nagle, wstrząsając głową:

— Wolno palić u pana? — zapytała otwierając tytunierkę ozdobioną jej cyfrą.

— Ale i owszem, proszę bardzo! — odpowiedział Guy, zapalając gąbkę nasyconą w spirytusie umieszczonym na srebrnym trójnóżku i podał ją Marjannie.

Szybko podniosła do ust skręcony przed chwilą papieros i zapaliła go od płomienia. Błękitne światełko spirytusowe podniosło blask jej oczu i lekko zarumieniło policzki, co Guy z dziwnem zauważył wzruszeniem.

— Zabawny pomysł! — rzekła zwracając mu gąbkę, na której tlał jeszcze drobny niebieski płomyczek.

Lissac zdmuchnął go i spoglądając na Marjannę, na wpół już zasłoniętą kłębami dymu, mówił do niej pod niepokonanym czarem wspomnień:

— Wolno ci nie wierzyć, ale słowem honoru mogę zaręczyć, że niejednokrotnie zdarzało mi się, iż moje serce starego Paryżanina gwałtownie zabiło, kiedym przypadkiem, czy to w zgrabnej figurce spotkanej na ulicy, czy w jasnym warkoczu opuszczonym na bobrowy kołnierz, czy w przelotnie dostrzeżonym profilu jasnej blondynki, dostrzegł coś takiego, co mi ciebie przypominało. Albo owe kapelusiki, obszyte futrem i strojne drobnemi piórkami, jakie dziś wszystkie kobiety noszą, a po raz pierwszy na twoich jasnych zjawiły się włosach! Ujrzawszy taki kapelusik, szedłem za nim. Słowo daję, że wcale nie dla tej, która go nosiła. Nieznajoma dreptała przedemną, znacząc swoje kroki głośnem przytupywaniem na wysokich obcasach, a ja za nią, coraz dalej i dalej, w tem miłem złudzeniu, że doprowadzi mnie ona do miejsc, w których prawdziwych Edenu rozkoszy doznawałem... A potem — nie śmiej się, Marjanno, bo na ulicach Paryża częstokroć napotkać można uosobione postacie własnych marzeń, i nie ja jeden tylko doświadczyłem, jak gwałtowne bicie serca wywołują podobne spotkania — a potem, zdarzało się, że miałem oczy wilgotne. Jeśli to była pora zimowa, perswadowałem sobie, że to zwykłe następstwo mrozu. Powiedz mi, Marjanno, czy to zimne powietrze zwilżało mi oczy?

Marjanna zaśmiała się.

— Ależ, doprawdy, stałeś się niezmiernie sielankowym, mój drogi! — odpowiedziała, patrząc mu wprost w oczy.

— Powiedz raczej, melancholicznym.

— To więcej na elegję zakrawa! Ale jakoś późno stałeś się tak wrażliwym, widocznie cierpisz na newralgię. Radzę ci zażyć cokolwiek waleriany z chininą, w posrebrzanych pigułkach. Jest to niezawodne lekarstwo.

— Szydzisz sobie ze mnie!

— Bynajmniej — odrzekła — ale jeśli wspomnienia o mnie mogły cię taką poezją natchnąć, żeby aż zniewolić cię do gonienia za każdym kapelusikiem z piórkami, cóż było łatwiejszego, jak nie jeździć do Medjolanu i nie uciekać przedemną jakby przed wierzycielem?

Teraz z kolei i na ustach Lissaca pojawił się uśmiech.

— Ah! bo widzisz... za bardzo cię kochałem!

— Znamy się na tem! — zawołała Marjanna tonem niezgodnym wcale z jej wyszukaną elegancją, tonem modelu sprzeczającego się z uczniem malarskim. — Komplement, który chybił celu, nic więcej!

— Cóż chcesz? Może być żem głupstwo popełnił.

— O tem, mój kochany, nie powinieneś ani na chwilę powątpiewać. Zawsze jest głupstwem wyrzekać się kochającej kobiety. Prawdziwej miłości nie znajdziesz na ulicy.

— Przypominasz więc sobie, droga Marjanno, owe czasy, kiedy na swoich fotografjach, przeznaczonych dla kogoś, co cię bardzo kochał, wypisywałaś: „Temu, którego kocham nad wszystko w świecie!“

— Podobnych rzeczy nie zapomina się nigdy — odpowiedziała Marjanna, puszczając kłęb dymu pod sufit. — Szczególniej jeśli pisało się je szczerze!

— A ty, szczerze pisałaś?

— Słowo uczciwości! — dodała śmiejąc się

— A jednak, zapewniano mnie później, że przedemną kochałaś, uwielbiałaś innego.

— To być może — odparła Marjanna, a na ustach jej miejsce śmiechu, bolesna gorycz zajęła; być może, ale w życiu, jakie prowadziłam, tak często płacono mi miłością, że bardzo łatwo mogłam liczmany wziąć za prawdziwe złoto.

Wymawiając te słowa tonem ostrym, syczącym, jak odgłos szpicruty przecinającej powietrze, tak była zmienioną, tyle gniewnego tłumiła w sobie oburzenia, że Lissac nie mógł się oprzeć wzruszeniu.

Nawet dla takiego, jak on Paryżanina, wypadek dzisiejszy miał w sobie coś ciekawego i niezwykłego, W kobiecie tej, na wpół leżącej w fotelu, z głową przechyloną i opartą na poręczy, a z ust której ulatywały chmurki wonnego dymu, zdawał się widzieć nową, zupełnie mu nieznaną istotę, przybyłą tu w zamiarze kuszenia go. Przypuszczenia jego stwierdzał pozornie, omdlewający układ całej jej postaci, jakby nie przypadkowy, ale z rozmysłem wytworzony, przy którym tak szczęśliwie odznaczały się w obcisłej sukni zgrabne kształty jej ciała... a nadewszystko ten niespodziewany powrót znikłej przyjaciółki, zapomnianej kochanki. Ta skarga wreszcie, co przed chwilą bolesnym dysonansem z jej ust się wyrwała, czyliż nie była rozbudzeniem uczucia, tak nagle, przed laty zerwanego?

Przysunął maleńki fotelik i usiadł na nim obok Marjanny, szukając wzrokiem jej spojrzenia; jedną ręką sięgnął po białą jej rączkę, która mu się zwolna usunęła, a drugą wyciągnął już jakby chciał objąć jej kibić.

Nagle, Marjanna spojrzała mu prosto w oczy

i stanowczym głosem, szyderczym głosem przeszłości, dla której przyszłość nie ma nic obiecującego — rzekła:

— Ho! ho! cóżto, mój przyjacielu, nowy romans?

Lissac uśmiechał się.

— Daj pokój — mówiła dalej. — Już eś ten romans przeczytał od deski do deski!

— Jest to romans mojego życia! — szepnął Lissac przykładając usta do ucha Marjanny.

— Jedna przyczyna więcej, żeby go po raz drugi nieodczytywać. O! to niezawodnie! bywają książki, które się czyta raz tylko. A może właśnie dla tego, nigdy się ich nie zapomina.

Podniosła się nagle, rzuciła resztkę papierosa do kominka i patrząc śmiało w oczy zdziwionego Lissaca — mówiła:

— Ach! Dawno, bezpowrotnie minęły owe czasy, które ty, lubiłeś w żartach „kaprysami Marjanny“ nazywać; och! wesołe to były czasy! do żartów i śmiechu nigdy nam ochoty nie brakło! A dziś, czy wiesz, mój Guyu drogi, jakie są „kaprysy“ tej twojej dawnej ukochanej? Nudy, straszne, nieuleczone nudy! Przeziewam moje życie — jak tam ktoś powiedział — a poziewam tak okropnie, że mi się o mało usta nie rozedrą. Dnie wydają mi się posępne i ponure, ludzie nieznośni; książki ckliwe; głupcy wydają się warjatami, ludzie rozsądni głupcami. Nazwij to jeśli chcesz czarną melancholją, albo lepiej jeszcze, szarą, bo objawy jej, to wstręt do bezbarwności życia, znużenie spowszedniałą jednostajnością, pragnienie niepodobieństw. Pragnienie, mówiąc nawiasem, które nigdy zaspokojonem nie bywa. Jeszcze snać, nie wytrysło życiodajne dla mnie źródło!

Mówiła to głosem suchym, cierpkim, z nerwowemi wybuchami śmiechu, przerywanego jakby lekkim kaszlem. Od czasu do czasu, z zapalonego świeżego papierosa, otaczała się gęstym tumanem dymu, albo końcem palców strącała popiół na podłogę.

Guy wzruszony, rozciekawiony, zapomniawszy już o przedchwilowych pokusach, przyglądał się jej, wstrząsając głową jak lekarz, przekonywający się, że pacjent jego słabszym jest, niż sam się do tego przyznaje.

— Jesteś bardzo nieszczęśliwa Marjanno! — rzekł.

— Ja? Bynajmniej! Jestem zniechęcona, znużona i znudzona, ale nieszczęśliwą nie jestem. Nieszczęście, to jeszcze coś imponującego. Można mu czoło stawić. To grzmot lub piorun. Ale deszcz, ciągły, nieprzerwany deszcz, z nieodłącznem błotem — oh! to dość haniebnie zabijającego! A moje życie, to deszcz i deszcz bez końca!

Mówiąc to, wyciągnęła obie swe ręce, w długiem, nieskończonem ziewnięciu, zdradzającem bezmierne zniechęcenie i upadek bez nadziei lepszej przyszłości.

— Życie? czemże jest życie moje? Młyńskiem kołem, toczącem się bezwiednie. Czy ty pojmujesz takie życie? życie dziewczyny, zmuszonej żyć jak kobieta, w najrozleglejszem tego słowa znaczeniu? Zmuszona duszę moją, umysł, inteligencję, mieć zawsze na rozkazy innych... płacących mi za to... Dzięki Bogu! już się to skończyło! nie mam już wielbicieli i nie chcę ich mieć więcej!... Dziś, pragnę być panią tylko samej siebie!... Ale, prawda, byłabym zapomniała; mam przecież jedną przyjemność...

— Jaką? — zapytał Guy, którego ten gniew, ten mimowolny wylew wzburzonego uczucia, ten wykrzyk niekłamanej boleści, głęboko wzruszyły, budząc w nim naprzemian wątpliwość i współczucie.

— Jedyną moją przyjemnością jest — mówiła dalej Marjanna — gdy zamknę się sama jedna w maleńkim pokoiku, jaki wynajęłam sobie w głuchej uliczce, w pobliżu ogrodu botanicznego *). Tam kazałam przenieść wszystkie resztki pozostałe z ubiegłych lat życia: książki, drobiazgi, fotografje i Bóg wie nie co! A przyjemność moja zależy na tem, że mnie tam nie znają, nie wiedzą jak się nazywam, zkąd przybyłam i dokąd dążę; nie wiedzą co kocham, czego nienawidzę. Zamykam się, układam się wygodnie na szeslągu i myślę sobie: a gdyby tak przypadkiem — jak to się zdarza — jakiś anewryzm, albo uderzenie krwi do głowy, czy coś podobnego zabiło mnie w tej pustelni, niktby nie wiedział kto jestem, nikt a nikt, i ciało moje złożonoby w *Morgue*, albo w grobie wspólnym, wszystko mi to jedno, gdzie, to ciało, którego kształty przypominał każdy kapelusik obszyty futerkiem, spostrzeżony na ulicy. Nie są to, wszak prawda, zbyt rozkoszne marzenia? ale dla mnie są to najmilsze chwile. Według tego, mój kochany, możesz sobie wyobrazić, jakie są inne!

Lissac, poruszony do żywego, coraz bardziej był zaintrygowany. Przyszła sama do niego, musiał więc być potrzebnym jej na coś. Poruszona przezeń zerwana niegdyś struna miłości, nie odpowiadała pożądanym dźwiękiem, nie myślano więc o odświeżeniu tego, co zostało przeciętem a nie rozwiązanem.

W jakim tedy celu zjawiła się u niego ta zachwycająca zawsze istota, ze zranionem dziś sercem, z boleścią w oku i na ustach? Nie była ona znowu (a Guy doskonale znał ją z tej strony) kobietą zdolną powrócić jedynie dla odświeżenia zagasłych wspomnień, podzielenia się z Lissacem obecnemi strapieniami swemi i otoczenia go na jedną chwilę wonią perfum, prędzej jeszcze ulatniającą się, aniżeli niebieskawy dymek jej cygareta.

Wynurzywszy się ze swych pustelniczych usposobień, zaśmiała się takim samym jak poprzednio nerwowym śmiechem i patrząc ciągle w oczy Lissaca — zapytała go niespodzianie:

— Czy to prawda, co mi mówiono, że jesteś stałym gościem w salonie pani Sabiny Marsy?

— Prawda; jakkolwiek nie jestem zwolennikiem salonów politycznych — odpowiedział Lissac.

— Zdaje się, że polityka najmniejszą odgrywa tam rolę. Według zapewnień dziennikarskich, ustępuje ona miejsce literaturze. Zapowiadają właśnie, że pan Rosas... Ale, za pozwoleniem, drogi Guyu widujesz się jeszcze ciągle z panem de Rosas?

Wymawiając to nazwisko z zupełną na pozór obojętnością, Marjanna przechyliła nieco głowę, aby bliżej popatrzeć w oczy Lissacowi.

Nie odpowiedział jej zaraz, jakby chciał poprzednio odgadnąć, w jakim celu Marjanna wspomniała o panu de Rosas. Nie wątpił już przecież, że dzisiejsza jej wizyta musiała mieć jakiś związek z kastylijskim magnatem.

— Kiedy jest w Paryżu — rzekł po chwili — widujemy się zawsze, chociażby na krótko tylko.

— W takim razie, zobaczysz się z nim niezadługo, bo jutro ma przyjechać.

— A ty zkąd wiesz o tem?

— Z dzienników. Dziwisz się, jakbyś nigdy dzienników nie czytywał!... Pan de Rosas powraca ze Wschodu, pani Marsy życzy sobie, aby opowiedział swoją podróż na wieczorze, jaki umyślnie dla niego urządza. Ma to być coś nakształt prelekcji! Prelekcja! na co to przyszło naszemu Rosas? musiał się kaducznie zmienić! Pamiętasz, jaki to dziki człowiek był z niego dawniej?

— Nieśmiały tylko, a nie dziki, a to jest zupełnie co innego. Chciej mi przecież wytłómaczyć, jaki może mieć związek de Rosas?...

— Wprzód powiedz mi, czy wiesz z pewnością, że on ma jutro powrócić?

— Wiem o tem tak samo jak ty, z dzienników. Dzisiaj tylko przez dzienniki można się czegoś o naszych znajomych dowiedzieć.

— Główna rzecz idzie o to, abyś wiedział, że wiele mi na tem zależy, iżbym mogła posłuchać prelekcji pana de Rosas i dlatego przychodzę cię prosić, abyś mnie wprowadził do pani Marsy.

— Ah! to dla tego?... — zaczął Guy.

— Dla tego — przerwała Marjanna. Nudzę się. Wschód miał zawsze dla mnie niewypowiedziany urok. Przypominasz sobie *Pustynię* Felicjana Davida, którą grywałam ci na fortepianie? Otóż, chciałabym toż samo usłyszeć w opowiadaniu. To mi pozwoli zapomnieć o Paryżu.

— O to najmniejsza, moja droga. Pani Marsy prosiła mnie, abym przedstawił jej Vaudreya. Ty życzysz sobie być wprowadzoną do pani Marsy. Jestem więc zarazem werbownikiem i przewodnikiem; ale, co do ciebie, rad jestem niewymownie, że mogę cię wprowadzić do salonu pani Marsy, który, mam nadzieję, wyda ci się mniej ponurym od twojego pokoiku przy ogrodzie botanicznym.... Ale, prawda; jeśli mnie pamięć nie zawodzi, to z panią Marsy zostawałaś dawniej w przyjaznych stosunkach?

— Spotkałam się z nią kilka razy i bardzo mi się podobała. Zapraszała mnie do siebie, ale nie miałam odwagi. . Przyzwyczajona do samotności... do mojego kącika...

— Przy ogrodzie botanicznym — dokończył uśmiechając się Lissac. — Czy wstęp do tego pokoiku jest wzbroniony?

— Wzbroniony, nie — ale trudny. Zresztą nie mam żadnych tajemnic dla moich przyjaciół; pod jednym wszakże warunkiem, że pozostaną przyjaciołmi....

Słowa te powtórzyła z naciskiem:

— Niczem innem, jak tylko przyjaciołmi!

— Przyjaźń — zauważył Guy — jest to rzecz bardzo piękna, bardzo dobra, bardzo miła, ale...

— Ale co?

— Ale miłość...

— Nie wspominaj mi o miłości! Brr! nie chcę jej znać! Odlatuje jak jaskółki.... ucieka do Włoch! Kiedy przeciwnie, przyjaźń....

Wyciągnęła rękę do Guya.

— Jeśli zechcesz mnie kiedy dwiedzić, będę czekać na ciebie; adres dam ci przy pierwszej sposobności. Ale pamiętaj, że to nie Guy przyjdzie do mnie, tylko pan de Lissac. Czy zgoda?

*) Jardin-des-Plantes.

— Zgodzić się na to, byłoby impertynencją z mej strony.

Marjanna wzruszyła ramionami.

— Komplement! Jakiś ty śmieszny! Schowaj go sobie dla innych. Jam już z tem obyta.

Objęła go za szyję i na obu policzkach jego, złożyła szczery, koleżeński pocałunek:

— Kochałam cię prawdziwie — dawniej. Nie narzekaj i nie żądaj niczego więcej!

Ach! jakżeż gwałtowna obudziła się w nim chęć teraz, wskrzesić przeszłość i nie wypuścić od siebie Marjanny, dopóki nie zechce znowu być dla niego taką samą jak niegdyś!

Ona tymczasem wciągnęła już na ramiona okrycie i powtórzyła raz jeszcze, drzwi uchylając:

— A więc zgoda? u pani Marsy?

— U pani Marsy. Postaram się, że otrzymasz zaproszenie.

— A ja wstąpię po ciebie. Za to, przedstawisz mnie panu de Rosas. Zobaczymy czy mnie pozna!

Zaśmiała się.

— Przedstawisz mnie również, skoro to jest twój wydział (i śmiejąc się pokazała złośliwie ząbki) swemu koledze szkolnemu, panu Vaudrey Minister! Może się czasem na coś przydać! *Addio, caro!*

Guy de Lissac nie zdążył jeszcze dwóch kroków zrobić, kiedy Marjanna znikła już za opuszczoną portjerą. Guy śpiesznie odchylił zasłonę — panna Kajser stała przy drzwiach przedpokoju, z ręką na klamce.

— Będę u ciebie o dziewiątej! — zawołała zdaleka.

Lokaj pośpieszył drzwi otworzyć, ona raz jeszcze wdzięcznie się skłoniła, a za chwilę, nadobna jej sylwetka, zarysowana przez jedno jeszcze mgnienie oka na schodach, znikła zupełnie.

Guy, prawie rozgniewany, wrócił do pokoju.

Teraz, sam już będąc, gwałtownym ruchem otworzył okno. Z pokoju ulotnił się na zewnątrz błękitnawy dymek z papierosa wypalonego przez Marjannę; a z nim razem uleciała także woń new-mowned-hay, unosząc z sobą ów odurzający zapach świeżo skoszonego siana, jak się przed chwilą pokazało, tak niebezpieczny dla Lissaca.

Prąd świeżego, mroźnego powietrza wpłynął do pokoju na jasnych promieniach słońca. Śniegiem przypruszone dachy wyraźnemi kontury odbijały się na lazurowem wiośnianem niebie, a dymy z kominów prostym słupem wesoło wznosiły się w górę.

Guy pełną piersią odetchnął tem świeżem powietrzem, rozganiającem zapach tytuniowy, pomięszany z wonną atmosferą kobiecą. I zdało mu się w tej chwili, że jakaś litościwa ręka ściąga z jego czoła żelazną obręcz, krępującą mu głowę. Wiatr spłoszył już z twarzy jego pocałunki Marjanny.

— Czyliż przez całe życie pozostanę dzieckiem? — mówił do siebie. — Marjanna nie dla mnie tu przyszła, ale dla pana de Rosas. Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi kochankami! A, słowo honoru, nie wiele brakowało, żebym się był dał złapać... aby znowu, po jakimś czasie, powtórzyć wycieczkę do Włoch, — w moim wieku!!!

I uśmiechając się z przymusem, zamknął okno, bo zaczęło się robić zimno.

Na trotuarze bulwaru Malesherbes, przed wielką na rozcież otwartą bramą domu, zajmowanego przez panią Marsy, dwaj sierżanci miejscy, okutani w opończe, utrzymywali porządek pomiędzy cisnącemi się tłumami. Podwójny szereg ciekawych, niezrażonych padającym szronem, przyglądał się nieruchomie zajeżdżającym powozom, które kolejno zatrzymywały się u wejścia oświetlonego przedsionka, a gdy służba wysadziła z nich damy otulone w burnusy, lub mężczyzn w białych rękawiczkach, kryjących swe twarze w kosztownych futrach, objeżdżały dziedziniec naokół i krzyżowały się następnie z karetami później przybywającemi.

Już od godziny ciągnęła się podwójna ta wstęga karet, w połączeniu z defiladą gości nadchodzących pieszo, rzucających resztkę cygara na przedsieniu i kończących rozmowę jeszcze pod szklanną markizą schodów. Ciekawi, jedni drugim pokazywali znajome twarze, a zainteresowanie musiało być niezwykłe, skoro rozpuszczono pogłoskę, że nowi ministrowie nieomal w całym komplecie mieszczą się na liście zaproszonych.

Salony pani Marsy płonęły światłem. W przedpokojach ścisk był niezmierny. Paletoty i okrycia rzucano na stoły, związywano pospiesznie, a białe rękawiczki wysuwały się naprzód po numer kolejny, zupełnie jak w kontramarkarni teatralnej.

— Masz numer 113, mówił Lissac do Marjanny, podając jej ramię. Miała na sobie niebieską suknię.

— Nie jestem bynajmniej przesądną, — odrzekła z uśmiechem, chowając do kieszeni kontramarkę.

Była rozpromieniona. Pomimo zbytniego natłoku, zrobiono wolne przejście dla nadobnej blondynki, której jasne włosy spadały bujnemi splotami na śnieżne ramiona, a atłasowa powłoka sukni tak miłym drażniła szelestem.

Lissac ze szkiełkiem w oku, z szapoklakiem ceremonialnie przymkniętym w ręku, szedł zwolna do salonu pod strzałami zazdrosnych spojrzeń i jakby napawając się w przechodzie objawami uwielbienia, wywołanemi pięknością jego towarzyszki.

Na progu salonu, w czarnej jedwabnej toalecie gustownie uwydatniającej jej wdzięki, przyjmowała gości pani Marsy, witając ich uściśnięciem rąk i słodkim uśmiechem — obowiązki wicegospodyni spełniała zawsze miła i uprzejma, śliczniutka pani Gerson.

Sabina zdawała się wielce uradowaną, ujrzawszy Marjannę. Znając ją dawniej jeszcze, nie umiała się nigdy oprzeć wpływowi jej rzutkiego, szczerego charakteru. Jaką była przeszłość Marjanny, o to nie troszczyła się wcale. Synowica Kajsera była przyjmowaną wszędzie, a i dziś przecież Kajser towarzyszył Marjannie. Szedł tuż za nią zaraz, — tylko, że nikt na niego nie zwracał uwagi. Rozmawiał właśnie z mężczyzną mniej więcej sześćdziesięcioletnim, o siwej brodzie i łagodnem spojrzeniu, który słuchał go uprzejmie, myśląc prawdopodobnie zupełnie o czem innem.

— Ach! drogi mój, kochany panie Ranzel! Jakże rad jestem, że cię widzę! — deklamował z aktorskim zapałem.

— Faktem jest, że nie widujemy się prawie wcale. Co słychać u ciebie?

— Co u mnie słychać? pracuję, a pracą moją protestuję, wiadomo ci, że nigdy, w żadne układy nie wchodzę. Nigdy!... godność sztuki bowiem...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PIŚMIENNICTWO.

(*Dokończenie*).

Druga strona pracy, wywnioskowująca z pieśni, jak lud na położenie własne społeczne zapatruje się, nie zaleca się o wiele lepiej. Dzwoni w niej taż nuta, mająca na celu rozbudzenie do Lachów nienawiści. W celu tym autor przytacza pieśni, brane nie tylko z ust ludu, ale i ze szpalt pism takich, jak »*Zoria hałyćka.*« Jeżeli jednak świadczenie się *Zorią hałyćką* nie wielkie wzbudza zaufanie, to cóż dopiero Szulgin, osławiony Szulgin, który panu M. Dragomanowi służy za przewodnika głównego do kreślenia stosunków słowiańskich w czasach ostatnich na Rusi, pod panowaniem moskiewskiem. Szulgin, redaktor *Kiewlanina!*.. Oto źródło dla historyka. Szulgin, rzecz prosta, malował poddaństwo czarno, nie dla tego jednak, że czarnem ono było w istocie, ale dla zohydzenia szlachty polskiej, która będąc poddaństwa winną, tak jak szlachta na świecie całym, ma jednak za sobą to, że sama i pierwsza przeciwko onemu wystąpiła. Pan M. D. przyznaje to, wspomina nawet o Konarskim i przypisuje fenomen ów demokratycznemu duchowi, który wionął z Zachodu, z zastrzeżeniem jednak. „Najbardziej w ukraińskich poddanych wmawiali to demokraci polscy, — ale ich było nie wiele, — a przytem i oni wciąż nakręcali na powstanie za państwo polskie, którego Ukraińce nienawidzili.“ Państwo to, zawadza uczonemu autorowi, stanowiąc pewien rodzaj prześladującej go zmory.

Po zniesieniu pańszczyzny, pojawiać się poczęły utwory rymowane, sławiące cara Aleksandra i wymyślające na panów. Pan M. D. sam pewnym nie jest, czy to ludowe; przypuszcza, że skomponowane zostały przez jakiegoś piśmiennego człowieka i do ludu przeszły. Przypuszczenie wydaje się nam prawdopodobnem, ale w pierwszej polowie tylko. Rodzaj wiersza nie jest taki, który lud ukraiński przyswaja sobie i wyrazy nie takie, których on do pieśni używa.

«Na mnohija lita naszomu carewi,
Szczo zrobyw uwilnenia naszemu krajewi;» etc.

Ukrainiec posłuchałby tego, ale by nie powtórzył. W ogóle, do tych zbiorów pieśni, dokonywanych przez ludzi, zaopatrzonych w paszporty generał-gubernatorskie, w czasach najzawziętszej przeciwko Polakom propagandy, ufności wielkiej mieć nie można. Podejrzenie nasuwa się samo przez się; za zbyt to okolicznościowością trąci, i to okolicznościowością oficjalną, z którą uczucie nic nie ma wspólnego. W lud, w pierwszej zwłaszcza chwili, wmówić było można, że wyzwolenie od poddaństwa i własność ziemi zawdzięcza wspaniałomyślności carskiej; lecz wspaniałomyślność ta wraz z dobrodziejstwem nasłała nań chmarę »*abrusitieli*,« którzy nie mogli w sercu jego nie zneutralizować uczucia wdzięczności. Wiemy ze źródeł wiarogodnych, że chłop, napadnięty nagle przez propagandę, której jednym z czynników główniejszych była wódka (*abrusitieli* chłopów rozpajali), szedł po objaśnienia do pana, do szlachcica polskiego — do „swego.“ Owoż tu, w tym zaimku „swój“, tkwi punkt delikatny, zasługujący na uwagę ludzi, chcących mówić o usposobieniu chłopa na Rusi. Szlachcic polski jest wytworem miejscowym, z ziemi ruskiej wyrósł i w tę ziemię wrósł;

pomiędzy nim a chłopem zachodzi stosunek pokrewieństwa blizkiego; pomimo przeto, że jako pan — jako Lach — zarzutom ogromnym podlega; pomimo że się nadużyć dopuszczał, ciemiężył; pomimo to wszystko, w oczach chłopa, zawsze Moskale są *czuži liude*, a szlachcic polski jest *swij*. W tem rzecz i w tem grunt. Dla chłopa, który o państwie pojęcia nie ma, poczucie to swoistości ze szlachcicem polskim, zastępuje wyobrażenie państwa i jak długo nie milknie ono, póty Polska zaliczać może Ruś, jako część składową federacji, jaką była i jaką być musi, a w której narodowość żadna prześladowaną nie była nigdy i prześladowaną być nie może.

Nie będziemy się rozwodzili nad trzecim analizy p. M. D. działem. Powtarzają się w takowym te same, co w dwóch pierwszych zalety i błędy, więc i my byśmy się powtórzyć musieli. Powiemy jeno słówko o naturze zbiorów pieśni ruskich, na których się p. M. D. opierał i o konkluzji autora.

Zbiory pieśni ludowych ruskich dokonywały się i układały przez nieprzyjaciół Polski, przez takich, co przeciwko Polsce umyślnie dowodów poszukiwali — przez rodzaj sędziów śledczych parcjalnych, którym koniecznie i przedewszystkiem chodziło o wykazanie winy. Obwiniony bronić się nie mógł i nie może. Ażeby przeto, wedle zbiorów pieśni ludowych, sądzić było można o usposobieniach ludu na Ukrainie, poczekać by potrzeba na zbiory dokonane i ułożone przez Polaków, porównać jedne z drugiemi i sprawdzić. Przez przetak sprawdzenia takiego przepuścić pierwej pieśni one należy, jeżeli mają one służyć za materjał, bądź to historyczny, bądź polityczny.

W konkluzji naucza autor, że na Rusi, tak Moskale, jak Polacy, wszczepić się winni w narodowość miejscową i wnieść w nią w sposób ten pierwiastki cywilizacyjne. Nic przeciwko temu nie mamy; zauważymy jeno, że tego rodzaju wszczepiania się, dopełniać się mogą jedynie w warunkach normalnego bytowania narodu. Ruś nie wyszła jeszcze ze stanu fermentu początkowego; nie urobiła się jeszcze — że się tak wyrazimy — chemicznie; urabiać się dopiero poczyna z trudem i mozołem wielkim, a rozwój jej czysto narodowościowy nastąpić nie może rychlej, aż stanie samoistnie, jako narodowość, nie uciskana i nie protegowana przez nikogo. Do tego niezależności narodowościowej stanu dobić się nie sposób dla niej inaczej, jak pod egidą związku polskiego — tego związku, za którego obalenie odpowiedzialną nie ma co czynić ani Polski, ani Rusi, dla tej bodaj przyczyny, że o ile winną jest jedna, o tyleż winna druga. Zadaniem historji nie jest winowajców tego rodzaju pod pręgierzem stawiać. Po pjanemu ze stron obu rozegrał się dramat dziejowy, który się zakończył niewolą. Po trzeźwemu dziś tak Polacy, jak Rusini, zapatrywać by się powinni na sprawę spólną.

Z. M.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Bałucki Michał.* Pańskie dziady. Powieść fotografowana z natury. 8-ka, str. 258. Warszawa 1881, 1 zł. 50 ct.

— *Bełza Wł.* Matka. Poemacik dla dzieci; 12 obrazków z maleńkiego świata. 8-ka. str. 43. 50 ct., z drzeworytami.

— *Bykowski Piotr.* Faktor hetmański. Powieść zeszłowieczna. 16-ka, str. 164. Warszawa 1881, 1 zł. 35 ct.

— *Eurypides.* Orestes. Dramat przedstawiony roku 409 przed Chr. 8-ka, str. 94. Poznań 1881, 60 ct.

— *Daszewski Marceli.* Chrześcijanie i żydzi. 8-ka, str. 30. Warszawa 1881, 34 ct.

— *Fedorowicz Tadeusz.* Kilka uwag o chowie bydła dla naszych gospodarzy. 8-ka, str. 102. Tarnopol 1881, 60 ct.

— *Jedna z odpowiedzi* Margrabiemu Z. Wielopolskiemu na jego „List otwarty do Katkowa“ 4-o, str. 13. Lwów 1881, 30 ct.

— *Jecke August.* Swiat i dzieci, czyli nauka o rzeczach. Część II., nauka o zwierzętach i roślinach (z 15 tablicami kolorowanemi) dla dzieci od lat 7. do 9. lub 10ciu. Wydanie drugie, 4-o str. 114, w oprawie. Warszawa 1882, 2 zł. 70 ct.

— *Kalendarz kieszonkowy,* dla gospodarzy wiejskich, na rok 1882, wydany staraniem Towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego, a za współpracownictwem Profesorów krajowej wyższej szkoły rolniczej w Dublanach, pod redakcją dra. Juliusza Aua. 8-ka, w oprawie w płótno, 1 zł. 60 ct.

— *Karatów Marceli.* Starożytny egipt i jego prawodawstwo. 8 ka, str. 32. Warszawa 1881, 60 ct.

— *Kołaczkowski Julian.* Wiadomości o fabrykach i rękodzielniach w dawnej Polsce. 4-ka, str. 88. Warszawa 1881, 1 zł. 50 ct.

— *Kozłowski S. X.* Kazania świąteczne i przygodne. 8-ka, str. 338. Wilno 1880, 2 zł. 25 ct.

— *Kraszewski J. I.* Krzyżacy 1410. Obrazy z przeszłości. 2 tomy, 8-ka, str. 277, 299. Warszawa 1881, 3 zł.

— *Lenartowicz Teofil.* Rytmy narodowe. 8-ka str. 202. Lwów 1881, 2 zł.

— *Łoziński Bronisław Dr.* Wieczna wojna, Studjum polityczne. 8 ka, str. 55. Lwów 1882 60 centów.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Przed kilkoma dniami pojawiła się w księgarniach naszych książka, pod tytułem: *Johann III, König von Polen* Sobieski, *in Wien* etc. von *Georg Rieder, Pfarrer am Rennweg.* Wiedeń 1882 W. Braumüller. 8-o str. 400. Książka ta, tytułem swoim zwróciła powszechną uwagę na siebie, a jedno z pism naszych politycznych, powtarzając *mutatis, mutandis* ocenę *Fremdenblattu* wiedeńskiego, poleciło ją bardzo dobrze publiczności polskiej. Czujemy się tedy spowodowani podać naszym czytelnikom dokładniejszą o tej publikacji wiadomość i zamieścimy w następnym numerze obszerniejsze o niej sprawozdania L. Tatomira.

*** „Jan z Tęczyna,“ romans historyczny J. U. Niemcewicza, wyszedł z druku w taniem wydawnictwie „Bibljoteki mrówki,“ (tomiki 129—133.) Klasyczna ta opowieść, zachwycająca ojców naszych, czytana z rozrzewnieniem przez nas, w równej mierze podobać się będzie dzieciom naszym — tak nieporównaną jest jej prostota, powaga i tryskająca z każdego wiersza prawdziwa miłość rzeczy ojczystych. Książkę tę, gorąco polecamy młodzieży.

*** Odczyt p. Edwarda Pawłowicza, miany w rb. na publicznem posiedzeniu Zakładca nar. im. Ossolińskich, p. t. „Rzut oka na stanowisko malarstwa polskiego w obec sztuki u obcych,“ wyszedł z druku w oddzielnej odbitce. O pięknej tej pracy mówiliśmy obszerniej w N. 43 Tygodnia.

Społeczne i ekonomiczne.

*** Lekarze warszawscy, wystąpili podobno z prośbą do rządu, o poparcie projektu utworzenia warszawskiego towarzystwa emerytów lekarzy.

Projektowane towarzystwo ma się opiekować lekarzami, którzy bądź to wskutek starości i kalectwa, bądź też choroby nie mogą dalej pracować i zostają bez utrzymania, jak równie i pozostałemi po lekarzach wdowami i dziećmi.

*** Kolonja polska w Berlinie.

Stolica cesarstwa niemieckiego liczy w swych murach 42,600 Polaków, z których około 36,000 żyje według tradycyj swojskich, reszta zaś nie bierze udziału w rodzimem życiu społecznem.

Polacy mają w Berlinie siedm swych stowarzyszeń, a mianowicie: akademickie, polsko-katolickie, przytulisko rzemieślnicze, kupieckie, towarzystwo wsparcia i towarzystwo Polek.

Zadaniem tych stowarzyszeń jest pielęgnowanie swojskiej mowy, zwyczajów i obyczajów, utrzymanie życia towarzyskiego, udzielanie wzajemnej pomocy i dobroczynność.

Przytulisko daje przytułek przejeżdżającym przez Berlin rodakom, wyszukuje im pracę, udziela zasiłki na koszta podróży.

Towarzystwo wsparcia opiekuje się biednymi.

Wspólne zabawy, wieczorki towarzyskie, przedstawienia teatralne utrzymują towarzyskie pożycie Polaków, strzegących swej narodowości w samem sercu germanizmu.

*** Ogólna ludność ziemi wynosi obecnie 1,455,000,000 ludzi.

Roczny przybór oceniają w przybliżeniu na 16 miljonów dusz, a ogólna cyfra od czasu upadku państwa rzymskiego prawie o połowę się pomnożyła.

Gdyby wszystkie zamieszkałe kraje były tak gęsto zaludnione, jak Anglja i Belgja, Indje i Chiny, to na ziemi znalazłoby pomieszczenie około 10 miljardów ludzi, liczba, którą ludzkość osiągnie może po wielu wiekach...

*** Według obliczeń podanych w urzędowym raporcie p. Loua, szefa biura we francuskiem ministerstwie handlu i rolnictwa, długość komunikacji telegraficznych w całym świecie wynosi obecnie 650,000 kilometrów, a drutów stanowiących komunikację między stacjami przynajmniej 1.800.000 kilometrów...

Gdyby je połączyć w jedną całość, mogłyby 45 razy opasać kulę ziemską po linji równika!

*** W książce Ottona Beck, która wyszła niedawno p. t. „Handel i życie w Moguncji,“ nazwane jest to miasto „międzynarodowem,“ autor przypomina bowiem, że w r. 1866 Moguncja posiadała: heski zarząd terytorjalny, francuskie prawo publiczne, niemiecką ludność, rzymski kościół, pruskiego komendanta, austrjackiego gubernatora, włoską załogę, książęcą Thurn Taxis pocztę, bawarski telegraf i badeński zakład gazowy.

Treść: Zefirek, przez Elizę Orzeszkową. (c. d.) — Koń (z «Esprit des bêtes» A. Toussenela). — Gdyby tak na całym globie, wiersz M. Rodocia. — Kronika tygodniowa. — Pan minister, przez J. Claretie. (c. d.) — Piśmiennictwo. (dok.) — Bibljografja polska. — Wiadomości z kraju i ze świata.

W dodatku: Nędznicy, romans Wiktora Hugo, tom IV-ty, arkusz 3.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.